

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 28

Czwartek, dnia 31-go grudnia

Rok 1914

Gołębie św. Marka.

(Dokończenie).

Pietro skoczył na stół i otworzył okienko. Gołąb wszedł z wolna, kłaniając się na wszystkie strony. Miał siwe pierze mocno zjeżone a oczy przymknięte jakby płakał. Zatrzymał się na krawędzi stołu i spojrzał na Beppe. W tej chwili jednym ruchem ręki schwytał go stryjaszek. Gołąb nie bronił się, przeciwnie pod ręką ludzką zrobiło mu się ciepło. Otworzył szerzej oczy i ruszył głową jakby na znak podziękii.

— Będzie rosół dla Beppe — zawołał stryjaszek — a nawet nie jest bardzo chudy.

— Rosół dla Beppe?... — powtórzył ojciec i syn.

A w izdebce zapanowało głucho milczenie. Tymczasem bohaterski tenor wydobył nóż z kieszeni. Gołąb spojrzał ciekawie na rękę, czy to nie pszenica lub kukurydza.

— Utnę mu tak gładko głowę — mówił Angelo, otwierając klingę — że bez żadnego bólu przeniesie się w świat hurrysek.

Sprężyna dzwinki, a błyszcząca klinga wyprostowała się. Dźwięk ten zbudził chorą z gorączki. Otworzyła oczy i lekko ruszyła głową.

— Czy zechcesz rosołu? — zapytał Marco, na którego twarzy malował się teraz wielki smutek.

Beppe uśmiechnęła się smutno i ruszyła głową na znak zaprzeczenia.

— Nie chce rosołu — zawołał Marco z weselszym wyrazem na twarzy — daj mu pokój. Grzechem jest biednego gołębia zabijać. Wolałbym umrzeć z głodu, a nie tknąć mięsa z tego ptaka.

Obdarty Pietro, który z pewnym przesirachem patrzył dotąd na nóż stryjaszka, zaczął skakać i krzyczeć:

— Nie trzeba Szymka zabijać, bo św. Marek gniewałby się na nas. Mogłoby za to kto z nas umrzeć.

Bohaterski tenor zmarszczył czoło i podniósł nóż do góry, jakby nim chciał ciąć w głowę gołębia.

— Obaj jesteście głupcy — zawołał z szyderczym uśmiechem — ojciec głupi i syn głupi! Wierzycie jeszcze, że weneckie gołębie należą do św. Marka, że święty Ewangelista o północy je sam karmi i mści się na tych, którzy je zabijają!... Czyż ty Marco wolisz zabić Beppe, nie dawszy jej ciepłego rosołu?

Marco patrzył ponuro przed siebie i milczał. Chora kobieta otworzyła usta i szepnęła:

— Nie zabijaj, nie chcę rosołu!

— Daj mu pokój, widzisz, że ona nie chce. Czy św. Marek sam żywi swoje gołębie, nie wiem. Zawsze jednak słyszałem, że te głodne ptaszka do niego należą.

Stryjaszek podnosił coraz wyżej nóż ostry. Gołąb zmrużył jedno oko, a drugim patrzył bez obawy, jak się patrzy na przyjaciela. Groźbę z nożem wziął za pieszczotę. Nie raz był on w ręku Pietra lub Beppe i wyszedł z tych pieszczot dobrze nakarmiony. I teraz myślał, że w ręce, która go trzymała, jest ziarno albo polenta dla niego. Posunął kilka razy dziobem po stole, jakby go chciał naostrzyć i przygotować do biesiady.

— Wstydzicie się wierzyć w podobne rzeczy — rzekł po chwili artysta — św. Marek tyle dba o gołębie, co ja o niego!

— Pozwól nam wierzyć w św. Izydora i Marka, choćby ta wiara nasza według ciebie była głupia. Ty nauczyłeś się lepszych rzeczy na deskach teatralnych, byłeś nawet raz, jak sobie przypominam, Orfeuszem w piekle, i zapewne wtedy nos ci poczerwieniał; ja zostałem tem, czem był mój ojciec, biednym gondolierem. Gdy ciemną nocą przy wietrze od gór płynę na Murano, to jęst mi lżej na sercu, jeżeli westchnę do świętego Izydora, naszego patrona.

— Jeżeli wierzysz, to wierz także, że św. Marek sam przysłał ci swego gołębia, aby twoja Beppe pożywny rosół miała.

Marco spojrzał na Beppe; na jego twarzy malowała się wąka.

— Puścić gołębia — wyrzekła z cicha chora kobieta.

— Daj mi gołębia — rzekł do brata z pewną obawą — sam odbiorę mu życie.

Artysta odstąpił mu jeńca, lecz nóż trzymał w pogotowiu. Gołąb poczuł ciepło drugiej ręki i z widoczną rozkoszą przechylił główkę, jakby już był pewien smacznych okruszków polenty. Spotkał go jednak zawód, zamiast jadła, otrzymał wolność. Wyrzucony przez okno, zatoczył się szerokim kręgiem ponad zimne fale i zniknął.

W izdebce nastała smutna cisza, tylko nagi Pietro klasnął kilka razy w ręce z radości, że Szymek zdrów odleciał.

* * *

Jeszcze czerwony artysta nie przestał wyrzekać, że gołębia puszczono, którego jakby Opatrzność Bo-

ska naumyślnie przysłała, gdy jakaś obca gondola do progu przybiła. Po chwili wszedł do izby gondolier. W jednej ręce trzymał tłustą kurę starannie oskubaną i woreczek ryżu.

— Il dottore Ambrosio — zawołał przy progu — przysłała wam to wszystko, aby Beppa miała dobry rosół, a wy zjecie mięso. Chorej nie kazał dawać mięsa.

Kilka chwil panowało w izdebce wielkie zadziwienie. Bosy Pietro porwał kurę z ręki posłańca i zaczął z nią skakać.

— Rosół dla matki, a mięso dla nas! — krzyknął jak opętany. — Matka wypije rosół, ojciec ze stryjaszkiem zje kurę, a ja będę miał risotto con fegatini! Bieda tylko, że nie mamy węgla.

— Jest i węgiel — zawołał posłaniec — przysłał go il dottore.

Pietro wypadł do sieni i za chwilę wrócił z koszem węgla.

— Toż to bał istny! — ozwał się artysta — nie wiedziałem, że mego brata Pan Bóg tak prędko nagrodzi. Zostanę z wami cały dzień i noc całą. Będę wam śpiewał przy uczcie królewskiej, a nawet spróbuję, czy mi nie da na kredyt choć jednej fiaschi di nostrano szynkarz z przeciwka.

Marco uściśkał posłańca ze łzami i kazał zacnemu doktorowi gorąco podziękować. Postanowił na jego intencję pościć w piątek, chociaż to wotum było zbyt ciężkie. Biedny gondolier zawsze pościł.

* * *

Po odejściu posłańca zabrano się do kury. Artysta własnoręcznie ułożył z węgla kunsztowną piramidę, Marco zapalił jedną z ostatnich zapalek, a bosy Pietro wydał czerwone policzki i począł tak groźnie dmuchać, jak Boreasz starożytnych. Iskry sywały się jak z fajerwerka, a w żelaznym kocielku zaczęła pryskać woda, co dla głodnych było najpiękniejszą muzyką. Wreszcie z należytą uroczystością włożono tłustą nieboszczkę do wody. Artysta wziął gitarę i zaśpiewał: *Stradella vampa, giunge la vittima...*

Artysta śpiewał doskonale. Płomień rzeczywiście syczał, a oskubana ofiara gotowała się już w kipiącej wodzie. Artysta wykonał jeszcze tuzin innych pieśni, przeważnie treści lirycznej, nim się kura ugotowała. Wszyscy ze skupieniem ducha słuchali pieśni i połykali ślinę, patrząc na kłębiące się bałwany wody. W duchu rozkoszowali się naprzód, że taka biesiada ich czeka.

Wreszcie zgotowała się kura. Artysta stwierdził to, ukłówszy ją kilka razy nożem. Podniesiono chorąg na barłogu i podano jej misę rosółu ryżem zaprawionego. Oczy chorej rozjaśniły się na widok strawy tak dawno niewidzianej. Tymczasem artysta rozplątał kurę na dwie części i sumiennie podzielił się z bratem. Pietro otrzymał wątróbkę i serce, aby nimi przyprawić swój... risotto con fegatini.

I tak wszyscy byli szczęśliwi. Beppa dostała rumieńców i czuła się zdrowszą. Marco wierzył, że jutro zacznie wiać sirocco i dwustu turystów przyjedzie. Już wołał sobie w duchu: Gondola, signori, gondola, gondola! Artysta bohaterski czuje, że młodość jego wraca, że śpiewa znowu Orfeusza w piekle, a nawet przypomina sobie rolę Almavivy! Udało mu się nawet wydłubić od szynkarza z przeciwka flaszkę wina na kredyt, a do szczęścia w ubogiej izdebce nic nie brakło.

Już się zmierzchać zaczęło, gdy drużyna spostrzegła, że w izdebce nie ma światła, i że z tego powodu trzeba się wcześniej udać na spoczynek.

— Jak się je i pije — ozwał się artysta — to jeszcze jako tako człowiekowi, ale w nocy, gdy się spać położymy, będzie dyable zimno. Kiedy bał, to bał. Trzeba izbę ogrzać jak komnatę królewską. Niech człowiek choć raz się wyparzy, jak Orfeusz w piekle. Dla Beppy będzie także lepiej.

Na te słowa stryjaszka pospieszył Pietro do komina i wyciągnął stamtąd duży rondel blaszany. Stryjaszek zajął się znowu artystycznym ułożeniem węgla, a Marco ostatnią zapalką podpalił stos ofiarny. Postawiono ten cały przyrząd koło łóżka chorej, aby pierwsze ciepło ją ogrzewało.

Najbliżej tego ogniska zajął miejsce artysta, podłożywszy sobie gitarę pod głowę. Na ławę pod ścianą legł Marco, a Pietro przyrządził sobie legowisko na ciepłym jeszcze kominie. Wprzód jednak, nim się udał na spoczynek, pozbierał okruchy jadła, i na jutrzejsze śniadanie dla gołębia na oknie rozsypał. Potem uspokoili się wszyscy, a monotonne chrapanie artysty usposobiło ich do prędkiej, słodkiej drzemki. W kilka chwil zapanowała w izdebce taka cisza, że słychać było wyraźnie łamanie się fal niespokojnych za oknem. Czasami przyniósł wiatr głośniejszy huk morza z poza Lido, lub syk lokomotywy gotującego się do odjazdu pociągu. Czasami, jak cień przemknęła spóźniona gondola i utonęła we mgle dalekiej.

Wszyscy spali już na dobre. Artysta snił o pierwszych swoich występach w rolach bohaterów. Od czasu do czasu zanucił nawet półgłosem jakąś melodię i poruszył się niecierpliwie. Marco snił o ciepłym sirocco i forestierach. Franki, jak dzisiaj płatki śniegu, padały do jego gondoli. Pietro marzył o worach ryżu i tłustych wątróbkach. Rzucił się we śnie, jakby skakał z radości.

Tymczasem rozżarzały się węgle w dużym rondlu, brudno-żółty dym zataczał w powietrzu szerokie kęgi. W miarę szerzenia się ognia przybierał ten dym barwę jaśniejszą i więcej przezroczystą, a w końcu stał się siny i tak subtelny, że zaledwie w słabych konturach rysował się nad ogniem.

Najpiękniejsze sny miała Beppa. Pożywna strawa pokrzepiła jej siły, a krew zaczęła szybciej krążyć. Twarz ożywiła się, na ustach zarysował się uśmiech zadowolenia. Jasne chwile życia przesunęły się przed nią. Widziała Marca, gdy na czele regaty pomykał jak ptak na lotnej gondoli. Gondola jego miała czerwoną chorągiew, a on miał szaty czerwone. Tysiące widzów wzdłuż brzegów patrzyły na regatę; a gdy pierwsza gondola do mety dotarła, rozległ się okrzyk: „Il rosso! il rosso! czerwony zwyciężył!”

Wtedy to uderzyło do zwycięzcy serce Beppy i oddał dla niego tylko biło!... Potem widziała w swojej izdebce liczny orszak gości, którzy pili wino „nostrano” i piosenki narodowe śpiewali. Był to chrzest Pietra. Zdrowy chłopiec krzyczał z gondolierami, a chrestny ojciec wlał mu nawet do ust spory kieliszek wina...

Widziała znowu, jak bieda i nędza spadła na nich. Nie było zarobku, a polenta podrożała. Pietro zarobił dziesięć centów i postawił na loteryę. Przez cały tydzień chodził do kościoła della Salute i błagał Madonny o wygraną, i wygrał rzeczywiście, a odebrane pieniądze złożył do rąk matki. Beppa była znowu szczęśliwa... Przypomniła sobie, jak Marco poszedł raz na ryby i przyniósł do domu połów niesłychanych. Wielka radość była w rodzinie, bo Bóg błogosławił pocziwą pracę... Znowu się zmienił obraz, a karnawał wenecki wystąpił w całej okazałości. Roje dziwnych masek otoczyły ją, il re Pantalon przybił na

wspaniałym okręcie do brzegów Rozetty, z całym orszakiem ministrów i dworzan. Na placu Św. Marka rozpoczęły się szalone płasy. Po wielu latach tańczyła znowu Beppa z Markiem jak ongi, gdy nie był jeszcze jej mężem. Na placu Św. Agnieszki zatknęto czerwoną chorągiew ze złotym napisem: „Triumpho della frittura.” Był to karnawał dla biednych.

Biednym rozdawano fritturę za darmo, a w każdej dziesiątej był ukryty dukat złoty, Beppa dostała fritturę z dukatem!

Kto tyle chwil szczęśliwych w życiu zaznał, jakże boleśnie byłoby temu umierać! Nie, ona już nie umrze, ciepła strawa pożywiła ją, czuje, jak jej sił przybywa. Wyzdrowieje i żyć będzie dla Marca, dla Pietra i dla siebie.

Cóż to jest? Jakaś mgła gęsta, jak wyziew martwej laguny, zasłania jej oczy. Woń nieprzyjemna odurza zmysły... oddech staje się trudny i urywany! Cóż to jest? Dzikie, straszne obrazy wyrastają z pod ziemi. Poczwały morza i ziemi suną się ku niej jak gady zdradliwe... jeden z nich rzuca się na Marca, drugi zatapia szpony w opaloną pierś Pietra!... Beppa chce biedz na pomoc, ale nie może się ruszyć, chce krzyczeć, głosu nie staje! Ciężka jak ołów mgła przygniata jej pierś... oddech ustaje... w głowie szumi, a serce bić przestaje. Czuje, jak straszne zimno rozchodzi się po ciele... zbliża się do serca... i życie gaśnie!

Długo leżała Beppa martwa i zimna. Nagle jakby grom nieba rozległ się w izdebce, a zimny prąd powietrza owionął jej skronie. Zmysły wracają, serce zaczyna bić... otworzyła oczy... i coś widzi przed sobą?

Widzi dzień biały, widzi słońce na posłodze, a po stole chodzi gołąb i szybko zbiera zostawione dla niego okruchy. To zacy Szymek, któremu wczoraj artysta chciał uciąć głowę. Koło niego stoi wychudła gołębicą, która już swoją część zjadła. Kawałki szkła leżą na stole, a łagodny wietrzyk przeciąga po izdebce.

Szyba w oknie wybita. Wybił ją gołąb, widząc przez nią zastawione dla siebie jadio. Długo pukał dziobem, aby mu otworzono, ale gdy nikt nie usłyszał, sam sobie otworzył. Beppa krzyknęła na Marca, ale Marco nie ozwał się. Zawołała na artystę, artysta nawet już nie oddychał.

Straszna rzeczywistość: wszyscy zagorzeli! Tylko Pietro, który spał najwyżej, skoczył na równe nogi i narobił krzyku. Zbiegli się sąsiedzi, Marco przyszedł do siebie, ale biedny artysta już był zimny jak lód.

Gdy się ratunkiem zajmowano, odleciał gołąb ze swoją towarzyszką, a obecni nie wiedzieli nawet, komu zawdzięcza biedna rodzina życie. Beppa tylko potem często opowiadała, co widziała.

Z I M A.

Wielce zawzięta i nieczuła zima
W haniebnie srogim rygorze nas trzyma,
Nie pofolguje chłopu i niewieście
W tem zacnem mieście.

Chociaż w kosztowne futro się obleczesz,
Onej złośnicy zgola nie ucieczesz:
Mróz cię dopadnie, a szczypie, a kole,
Mimo sobole.

Z jej to przyczyny rodzaj białogłowski
Szpeenie czerwone uszki ma i noski.
Jako ten, który (zmiłknij, muzu płochał)
W trunku się kocha.

W tych utrapieniach wyglądamy tedy,
Jakoby właśnie jakie Samojedy,
Kto jedno żwie, pomrukuje z cicha,
Do pieca wzdycha.

Za owe troski jakaż wam nagroda?
I gadać o tem i napisać szkoda.
Z maszkar i z tańców warł niucha tabaki
Zysk ladajaki.

Mężowskie mieszkli zima wypatrosza,
Zima i ojców oskubuje z grosza:
Kwili podwika, że jej trzeba szatek —
Składaj podatek.

Wiosenko wdzięczna! kędyż się podziewasz?
Przecz posponujesz, przecz się na nas gniewasz?
Przybądź, specyale, i broń nas co prędzej
Od onej jędzy!

WSPOMNIENIE.

Siedzi babcia w staroświeckim, safianem pokrytym fotelu. Na stole obok pali się lampa, leży duży kłębek z włóczką. Babcia nigdy nie próżnuje i teraz kończy ostatni pas włóczkowej kołdry, przeznaczonej jako podarek dla kogoś na gwiazdkę.

Na środku pokoju młoda, wysoka i smagła dziewczyna ubiera choinkę. To wnuczka, oczko w głowie babuni, jej duma i kochanie.

Dziewczyna krząte się żwawo. Drzewko świeci się i połyska, a mieni w różne barwy. Czerwone jabłka, włoskie orzechy, słodkie figi i smakowite daktyle budzić będą oskome małych smakoszów.

Dziewczyna śpiewa. Śpiewa nieuczenie, jak ptak witający zorzę poranną. Ot właśnie zawodzi pólgiem jakąś prostą piosenkę w tak oberka.

Babcia słucha.. w jej pamięci budzą się jakieś dawne... bardzo dawne wspomnienia.

Nie powiedziałyby na pewno, kiedy i gdzie to było. Miała chyba nie więcej niż ośmnaście, może dwiętnaście lat.

Tak... przypomina sobie dokładniej... Było to na kuligu w Sandomierskiem... Przystrojono ją jako drużynę. Gorset z blaszkami, spódnica biała, a wstążek — co wstążek!... bez liku! A tańczył z nią w drugiej parze pierwszy drużba, czarny Janek, co go wszyscy nazywali „dyabelcem”.

Babcia widzi duże ciemne oczy tego dyabła, choć nigdy nie patrzyła w te oczy... o nie!... Ale te oczy, sypiące skrami i zapalczywe w chwilach ochoły i tanów, jakież były tęskne, marzące, wilgotne, jakby łzy zachodzące, gdy mówił przyciszonym głosem lub śpiewał!

Ot śpiewał tego samego oberka:

— Oj Maryś, złoto moje — moje ty kochanie!
Oj, jak pójdziesz daleko — co ze mną się stanie!

I na rozjaśnioną twarz babci pada jakiś blask dziwny. I zwołna... gaśnie... gaśnie i gaśnie...

Bo oto w pamięci staje nowy obraz...

Jakiś niepokój... zawierucha... gwar... dzięk o krzyk... Jakaś łuna krwawa i ciemna noc, i odgłos kroków ludzkich... i błada jak płótno twarz Janka, złożonego na płaszcach żołnierskich.

A potem długie dni, i dłuższe jeszcze noce, pełne zmartwień i niepokoju...

I nareszcie chwila szczęścia, pokoju i ciszy... Kościół... ołtarz płonący rzędami świec jarzących, biała suknia, welon... i ten sam Janko „dyabelec” z jeszcze większymi, a zawsze tęsknymi oczyma... A taki mój... taki kochany!

Ręce babci spoczęły nieruchomie na nieskończonej jeszcze robocie... oczy patrzą w dal przed siebie, a po twarzy spływają dwie ciche, gorące łzy...

A wnuczka ubiera choinkę i śpiewa:

— Ludzie mi cię raja, i rodzice dają,
I sam sędzia Bóg...

Polka w gospodarstwie.

(Dokończenie)

W pańskich i zamożnych szlacheckich dworach oprócz służby był jeszcze dwór niewieści, składający się z panien i rezydentek, córek uboższej szlachty, a zostający pod opieką ochmistrzyni, poważnej zwykle matrony, wyćwiczonej dokładnie we wszystkich niewieściech delikatnych robotach, jak cienkiem przedzeniu, tkaniu, hafcie itp., jakoteż w układzie i całym ceremoniale dworskim.

Dwór dzielił się na panny płatne i rezydentki honorowe. Te ostatnie miały obowiązek zabawiania gości podczas licznych, trwających nieraz po kilka tygodni zjazdów, zwłaszcza w czasie świąt Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy, zapust lub uroczystości rodzinnych.

Panny płatne musiały zaglądać do piekarni, kuchni, mleczarni, kurników i chlewów, a jak jedne tak drugie pracowały nad zaopatrzeniem spiżarni i apieczki.

Dom bowiem musiał być we wszystko zaopatrzony, ażeby w jakiegokolwiek porze gość się trafił, nie zbywało mu na niczem. Gość zaś trafiał się często, boć despektem byłoby nielada, gdyby ktoś, przejeżdżając przez grunty brata szlacheć, a choćby o milę od niego, szukał gospody na odpoczynek.

Dwory też pańskie były istną szkołą dla uboższych dziewcząt; oprócz bowiem gospodarstwa, cała reszta niewieścia, nie wyłączając rezydentek, zajmowała się robotami ręcznymi. A kiedy czeladź przędła len lub wełnę, tkala grube płótno i samodział, rezydentki i córki, pod okiem pani domu lub ochmistrzyni, snuły cieniutkie przedziwo, wypłatały mereszki i siatki, haftowały jedwabiem, złotem, ba, i drogimi nawet kamieniami. Ze te roboty nie są mitem, świadczą nam zabytki ich w katedrze Płockiej, Łowickiej, w Częstochowie, Krakowie, a czasem i po małych wiejskich kościołach.

Od królewskiego więc zamku aż do chaty wieśniaczki napotykamy pracowitość niewieści. W czasach bowiem, kiedy brzęczącej monety nie uważano za najgłówniejsze bogactwo, trzeba je było wyciągać ze wszelakich produktów, które dawała przyroda; ile więc było rąk ludzkich, wszystkie musiały się do powiększenia tego bogactwa przykładać.

Znane są ze swej pracowitości i gospodarstwa księżne i księżniczki mazowieckie; w XV-tym wieku świeci przykładem Anna, córka Mikołaja Radziwiłła, a żona Konrada II Rudego, która, jak wspomina Szajnoch: „Sama własnoręcznie dzieciom odzienie tkala, a tygodniowe rachunki od ochmistrzyni odbierając,

sama co tydzień zwiedzała oborę, spiżarnię i przy sobie zapasy zimowe przyrządzać kazała.”

W XVI-tym wieku słynie gospodarnością wnuczka jej w prostej linii, Zofia, żona Jana Koski, wojewody sandomierskiego.

W XVII-tym wieku Zofia Czeska, sama zawołana gospodyni w Krakowskim, rozumiejąc słusznie, że gospodarstwo domowe jest podstawą dobrobytu rodziny, zapragnęła, aby panienki szlacheckiego rodu jak najwięcej się do niego przykładaly. I oto wtedy, kiedy jeszcze żadnych szkół dla kobiet nie zakładano, ona ufundowała szkołę gospodarstwa kobiecego w Krakowie, oddając ją pod opiekę Panien Prezentek.

Mimo więc, iż każdy dwór był szkołą, powstaje jeszcze specjalna szkoła gospodarstwa kobiecego, co dowodzi, jaką ona jest koniecznością w społeczeństwie, i jak tę potrzebę wówczas już odczuwano.

W XVIII-tym wieku, razem z dworem saskim i nieśczęsną modą sprowadzania nauczycielek ze Zachodu, zaczyna się psuć porządek w codziennym życiu rodzin, i młode kobiety, zaniechawszy zajęć domowych, poczynają wzdychać do życia pełnego przygód, o którym się od swoich mistrzyń nasłuchiwały. Rozpoczyna się więc ferment, który zamienia się nawet w oset, pełen najszkodliwych zarazków.

Spotykamy też zaraz utyskiwanie ludzi, stojących na wyżynach inteligencji; pedagogowie zaś i moralisci pilnie na tę kwestję poczynają zwracać uwagę. Na czele ich stoi Grzegorz Piramowicz, sekretarz komisji edukacyjnej, który w dziele swem: „O powinnościach nauczyciela” zaleca, aby przy wychowaniu dziewcząt wdrażano je do robót ręcznych i domowych. Dalej zaś mówi:

„Znajomość gospodarstwa domowego jest to prawdziwa nauka, która sposobi dziewczę do dalszych zajęć i robót życia każdego.”

Mimo jednak naleciałości cudzoziemskich, świeci przykładem doskonałej gospodyni w XVIII-tym wieku księżna Jabłonowska z Siemiatycz. Wydała ona: „Ustawy powszechne dla dóbr swoich” w ośmiu tomach. Jej zaś „Powinności dwórki czyli gospodyni folwarcznej” dziś jeszcze każdej gospodyni nie mały pożytek przynieść mogą.

W tym samym wieku Marya z Ilińskich Tarłowa słynie z rzadności i racjonalnego gospodarstwa. Dźwignęła ona i ocaliła od upadku cały majątek, rozrzutnością męża zniszczony, a nawet zaradnością swoją dzieciom fortuny przysporzyła.

Nawet książę Radziwiłł Panie Kochanku urządził w Nieświeżu zakład wychowawczy dla 50 panien, w którym pobierały wychowanie córki najznakomitszych rodzin. Kurs nauki trwał od 4 do 6 lat, obok zaś czytania, pisania, rachunków, deklamacji, śpiewu, tańca i języka francuskiego, uczono je szycia, haftu, przedzenia i wiele innych robót kobiecych. Prócz tego, co tydzień pracowały po dwie z nich około mleczyny, a dwie w kuchni, gdzie pod okiem ochmistrzyni i książęcego kuchmistrza uczyły się gotować. Po tej pracy miały przywilej, że w ubraniu kuchennym, t. j. w granatowym fartuchu z rękawami, siadały do książęcego stołu i musiały się popisać własnymi rękoma przyrządzoną, a częstokroć i przez siebie wymyśloną potrawą.

